

Coś w rodzaju wstępu

Chociaż ja sam przyszedłem na świat w szpitalu położniczym około czwartej rano, bohater powieści *Dni króla*, Józef Strauss, zrodził się w mojej głowie na rozgrzanym słońcem poddaszu późnym popołudniem (i to w dodatku bez pomocy lekarza czy akuszerki). Jeszcze nie skończyłem wtedy pierwszej książki *Degete mici* (*Małe palce*), więc mój stan był oplakany – skołowaciały rozum i nerwowo biegające nad tekstem oczy. Wtedy właśnie, całkiem zniecka, przyszedł mi do głowy pomysł napisania historii o niemieckim dentyście, który towarzyszyłby księciu Karolowi de Hohenzollern-Sigmaringen w Bukareszcie. Wiedziałem dobrze, jak nieciekawie wyglądało w XIX-wiecznym mieście leczenie zębów, gdy panami siekaczy i trzonowców byli zwykli balwierze. Zelektryzowała mnie myśl, że to właśnie ja mógłbym wyjąć niczym asa z rękawa pierwszego dentystę w mieście. Szczerze mówiąc, zakochałem się bez pamięci w tym pomysle, zwłaszcza dlatego, że jak na mój gust, wiek dziewiętnasty w Rumunii to dla prozaików czyste złoto. Od tamtego pamiętnego momentu byłem już stuprocentowo pewien, o czym będzie moja następna książka. Potrzebowałem jednak półtora roku, aby zebrać materiały i odnaleźć w sobie przynajmniej połowę atmosfery zdarzeń z tamtych czasów.

Przez wszystkie te miesiące miało miejsce moje dobrowolne zakażenie się ową „bakterią przeszłości”. Współczesny Bukareszt, mimo wszystkich zmian, jakie w nim nastąpiły w porównaniu z miastem wczorajszym, przedwczorajszym i jeszcze wcześniejszym, hojnie pozwala na wkraczanie w opary przeszłości, oczywiście pod warunkiem, że jest się zainteresowanym tą materią i nie czuje się

odrazy do miejsc podstarzałych i zaniedbanych. Można na przykład wędrować, zwłaszcza wieczorami, po cerkwiach i klasztorach, zaglądać na ich opustoszałe dziedzińce, kiedy mrok skrywa samochody popów i okoliczne bloki, łązić po opuszczonych, chylących się ku ruinie domach albo po okolicach, w których te same zapachy snują się od czasów wojny o niepodległość, kiedy to nie istniały toalety i kanalizacja, a nocniki opróżniano wprost przez okno na niezajęte chodników nie wszędzie wybrukowane ulice. Czasami, kiedy je się racucha kupionego na placu Obor (koniecznie z kiosku w ostatnim rzędzie, tuż przy torach tramwajowych, po lewej stronie nowej hali), można poczuć atmosferę miasta sprzed stu pięćdziesięciu lat.

Czytelnik być może oczekuje, że napiszę zaraz, jak trudno było odtworzyć dawne miasto oglądane z perspektywy przybysza, i że musiałem pewnie po wielokroć czytać każdą linijkę napisaną przez obcokrajowców przewijających się przez Bukareszt w tamtym czasie. Prawda jest jednak inna: z łatwością wyobraziłem sobie percepcję i przeżycia berlińskiego dentysty przybyłego nad brzegi Dymbowicy i nawet nie siłę na studiowanie przekazów ludzi, którzy z takich czy innych powodów spędzili tam nieco czasu. Spróbuję wyjaśnić, dlaczego tak się stało, żeby przy okazji podzielić się tym, jak postrzegam literaturę. Po pierwsze, z mojego punktu widzenia radość towarzysząca tworzeniu tekstu literackiego pochodzi właśnie z owej bez mała magicznej siły wyobraźni i z wysiłku (oraz jednocześnie przyjemności) tworzenia świata, który należy jedynie do mnie i niktogo innego. Rzecz jasna, taki świat potrzebuje sporej dozy prawdopodobieństwa, więc nawet całkowicie zmyślane opowieści muszą opierać się na konkrety i realnie narysowanym tle zanurzonym w konkretnej epoce, bo jedynie w taki sposób będą wiarygodne. Aby do tego dojść, ale również aby wiedzieć, w jakim świecie się mam obracać, zacząłem przeczesać dostępne materiały dotyczą-

ce wielkich i małych spraw historii. To tak, jakbym przed zabraniem się do budowania domu zwoził najpierw na jedno miejsce kamienie, piasek i drewno, czyli podwaliny. A przecież w ostatecznym rozrachunku najważniejsze i tak okażą się detale (a w przypadku powieści – szczegóły), bo to one moim zdaniem nie tylko nadają literaturze wdzięk, ale są wręcz jej esencją.

Jeżeli chodzi o świadectwa pozostawione przez podróżników zachodnich wędrujących przez dawną Wołoszczyznę i Mołdawię, to, jak już wspomniałem, unikałem ich, ponieważ moim zdaniem tego typu teksty są zbyt osobiste, subiektywne, nasączone entuzjazmem, fobiami, przypuszczeniami, obawami, a do tego zdumieniem i kręceniem nosem. A zatem nie sądzę, aby mogły być w czymkolwiek pomocne. Kiedy pisarz tworzy postać, kiedy kształtuje człowieka z krwi i kości, kiedy wdrukowuje w niego określone cechy charakteru, to pragnie, aby był on żywy (to znaczy, aby myślał, czuł i poruszał się), a zwłaszcza aby stał się sobą, a nie zapożyczał szablonu lub sposób myślenia od innych, niczym mechaniczna lalka lub manekin. Jestem pewien, że w tej materii miało znaczenie również to, w jaki sposób ja sam w trakcie moich podróży zaprzyjaźniałem się z tym czy innym miastem: nie rzucam się na muzea, nie próbuję dowiedzieć się, jakie są jego słynne miejsca i nie biegnę co sił, aby zwiedzić, co się da, nie czytam przewodników turystycznych, tylko po prostu idę na spacer, łążikuję do utraty sił w nogach, całymi godzinami, i gapię się na wszystko, co napotykam po drodze.

Zagłębiałem się w świat dawnego Bukaresztu cierpliwie i z niezwykłą przyjemnością. Chciałem go pojąć i poczuć wszystkimi porami skóry. Nie mam zmysłu kolekcjonera, ale myślę, że w moich dwóch pasjach, czyli łowieniu ryb na przynętę (gdzie czasami czeka się bardzo długo na wynik) i grzybobraniu (gdzie w czasie suszy nieźle się trzeba nachodzić, aby znaleźć choćby nędznego grzybka), istnieje coś ukrytego, tłące się, co niezwykle pomogło

mi w odtworzeniu dróg, tras, topografii, miejsc z przeszłości startych już teraz w proch. Jeśli uważnie posłucha się wiatru, trzeba przyznać, że wieje tak samo jak półtora wieku temu. A zatem, wykonując z zamkniętymi oczami niewielki wysiłek umysłowy w letni dzień, kiedy panoszą się roje much i panuje powszechna ospałość, można dostrzec stojącą jeszcze przy cerkwi Colțea wieżę i przelatujące nad jej dachem stado gołębi. Jeśli przypomnimy sobie o buncie wywołanym zburzeniem wieży podczas poszerzania ulicy (w sierpniu roku tysiąc osiemset osiemdziesiątego ósmego) i o sromotnej ucieczce burmistrza, który trzy tygodnie ukrywał się ze strachu przed rozjuszonym tłumem, mamy szansę zrozumieć, ile znaczyła owa budowla dla bukaresztenczyków. Tworzyła część duszy miasta.

Różnice między stanem obecnym a przeszłością są olbrzymie, wręcz niewyobrażalne. Dzisiejsza trzymilionowa aglomeracja liczyła w pierwszej połowie wieku dziewiętnastego zaledwie sto pięćdziesiąt tysięcy dusz, nie miała choćby jednej brukowanej ulicy i żyła w rytmie tureckich zwyczajów spod znaku niezwykle długiego, ponadczterystuletniego okresu wasalstwa wobec Imperium Osmańskiego. Choć Bukareszt nigdy nie był paszalykiem, czyli stolicą tureckiej prowincji pod zarządkiem paszy, zawsze nosił potężne orientalne piętno, począwszy od szarawarów i nargili, a skończywszy na małych, parterowych domkach i całkowitym braku pomników i szerokich ulic. Ale poza owymi widocznymi znakami istniały rzeczy niewidzialne, które jednak wpływały jeszcze bardziej na bieg życia mieszkańców. Niepisane, ale wszechobecne prawa haraczu (lub łapówki, jak to się mówi w dzisiejszych czasach) i służalczości wydawały się naczelnymi regułami rządzącymi zarówno światem wielkiej polityki, jak i losem przedmieść.

Wiosną roku tysiąc osiemset sześćdziesiątego szóstego, kiedy przyszedł król Karol I, wtedy jeszcze kapitan dragonów Karol Ludwik de Hohenzollern-Sigmaringen,

przyjechał do Bukaresztu na swoją koronację, Księstwa Rumuńskie nie miały ani kolei, ani własnej monety, nie mówiąc o fladze narodowej, konstytucji i hymnie, płaciły coroczny olbrzymi trybut Stambułowi, a armia miała charakter dość operetkowy, mogąc co najwyżej wzbudzać westchnienia romantycznych pańienek, w żadnym razie nie nadając się do udziału w jakiegokolwiek wojnie. W roku tysiąc osiemset pięćdziesiątym dziewiątym Wołoszczyzna i Mołdawia zjednoczyły się dzięki zręcznemu manewrowi zgromadzeń parlamentarnych zwanych dywanami, które odbyły się w Bukareszcie i Jassach i wybrały na władcę obu kraików jednego człowieka, czyli Aleksandra Jana Cuzę, tworząc unię personalną. Było to bardzo kruche zjednoczenie, mogące w każdej chwili zawalić się z powodu wszechobecnego chaosu i biedy, walk o władzę między rodzinami poprzednich władców (z tzw. okresu fanariotów, kiedy to trony Wołoszczyzny i Mołdawii po prostu kupowano za niemałe pieniądze wprost od sułtana), indolencji i cwaniactwa polityków i w dużej mierze również alkowianych, burzliwych przygód Cuzy, bardziej zajętego swoją kochanką, Marią Obrenowicz, niż sprawami kraju.

Pomysł zainstalowania zagranicznego księcia na tronie rumuńskim wydawał się jedynym ocaleniem. I tak właśnie się stało, nie tylko dlatego, że ów książę był skoligacony z królem pruskim Wilhelmem I i posiadał błogosławieństwo cesarza Francji Napoleona III, ale być może również dlatego, że tak chciał dobry Bóg. Tak czy owak, Karol I zastał wynędzniały kraj przypominający biedną, turecką prowincję, a zostawił po sobie państwo w całym tego słowa znaczeniu, mocno stojące na własnych nogach.

Filip Florian